

WSPOMNIENIA SPRAWIEDLIWEGO

W końcu 1941 roku nasza czteroosobowa rodzina przeniosta się z sandomierskiej wsi do Warszawy. Zamieszkaliśmy na Żoliborzu w niewielkim domku przy ulicy Tucholskiej 30. Ojciec zarabiał na nasze utrzymanie, ja uczyłem się na tajnych kompletach, macocha zajmowała się domem i dwuletnim chłopcem – moim przyrodnim bratem.

Jako nowi przybysze nie znaleźmy nikogo z otoczenia i żyliśmy prawie w zupełnej izolacji. Nikt nas nie odwiedzał oprócz inkasenta z gazowni. Pan Łycki, bo tak się nazywał, okazał się bardzo miłym i komunikatywnym człowiekiem. Szybko też zaskarbił sobie naszą sympatię i zaufanie. Podczas jednej z wizyt pan Łycki przeprowadził z Ojcem bardzo poważną rozmowę. Dał mianowicie mojemu Ojcu do zrozumienia, że jest członkiem Organizacji Pomocy Żydom „Żegota”. Głównym zadaniem „Żegoty” było organizowanie (wyszukiwanie) bezpiecznych mieszkań – kryjówek poza gettem – po tzw. aryjskiej stronie. Zapytał Ojca wprost, czy zdecydowałby się przystąpić do akcji udzielania pomocy uciekinierom z getta. Nie bagatelizował przy tym ogromnego ryzyka, jakie podejmował każdy ukrywający Żyda – mógł zginąć nie tylko on, ale i jego cała rodzina. Ojciec był dobrze zorientowany w konsekwencjach, jakie groziłyby jemu i całej rodzinie w razie wpadki, ale jednak podjął świadomie to ryzyko i wyraził zgodę na współpracę z „Żegotą”.



Pierwsi przybysze

Późną jesienią lub na początku zimy 1942 pan Łycki zaproponował Ojcu przyjęcie do domu trzyosobowej grupy Żydów, którzy uciekli z getta i poszukują bezpiecznego miejsca zamieszkania. Ojciec wyraził zgodę i już następnego dnia na krótko przed godziną policyjną przybyły trzy osoby: kobieta i dwóch mężczyzn. Jeden z nich – Szmul Cytryn – był mężem owej kobiety imieniem Fania. Drugi z mężczyzn, Rachmyl (Roman) Kon, był ich przywódcą. Dowcipny i inteligentny, imponował mi rozległą wiedzą i znajomością życia. Szybko też zaprzyjaźniłem się z nim, jak również z pozostałą dwójką. Często przesiadywałem w ich pokoju, przyglądając się z zainteresowaniem pracy, którą wykonywał zegarmistrz Cytryn. Składał seryjnie zegarki, które miały być sprzedawane w celu uzyskania środków niezbędnych do przeżycia. Próbował nawet mnie tego uczyć, ale bez powodzenia. Stwierdził, że nie mam tzw. „sicflajszu” i do tej pracy się nie nadaję. Ale wkrótce znalazła się dla mnie inna, bardziej odpowiednia robota.

Wyprawa do getta

Po paru tygodniach – było to chyba w lutym 1943 r. – okazało się, że zaczyna brakować pewnych elementów składowych zegarków i produkcja stanęła. Kon, początkowo nieśmiało,

potem coraz natarczywiej, zaczął namawiać mnie na wyprawę do getta w celu zdobycia brakujących części. Ciekawość przemogła strach i zdecydowałem się na tę wyprawę. Rozumiałem, że brak części uniemożliwia naszym sublokatorom zdobywanie środków na życie. W tym czasie jeszcze nie wiedziałem, że Kon ma syna Juleczka, który był przechowywany u pewnej kobiety za dość dużą opłatą. Robił więc wszystko, żeby zdobyć środki na ten cel.

Zaopatrzone mnie w lentę, czyli opaskę, którą obowiązkowo musieli nosić Żydzi, list, adresy i praktyczne rady, które miały mi ułatwić w miarę bezpieczne poruszanie się w getcie. Jedną z nich, bodaj najważniejszą, była rada, aby natychmiast po sforsowaniu muru założyć opaskę i jak najspieszniej przemknąć do celu, z dala omijając Niemców i policjantów żydowskich.

Do getta dostałem się, przechodząc mur u zbiegu ulic Leszno i Karmelickiej. Po założeniu opaski, pilnie wypatrując ewentualnego zagrożenia, szybko udałem się pod pierwszy ze wskazanych adresów. Wejście do getta stanowiło dla mnie niewątpliwą szok. Poza psychologiczną barierą strachu, którą trzeba było pokonać, należało także powściągnąć ciekawość i emocje. Miałem się zetknąć z rzeczywistością, o której po naszej stronie muru mówiło się, że jest straszna i przerażająca. Taka była w istocie.

Domy pod numerem 62/64 na Lesznie stanowiły osobny kompleks dwóch bardzo dużych budynków, usytuowanych prostopadle do ulicy. Przestrzeń między nimi tworzyła osobne podwórko, które stanowiło jakby odrębny, wewnętrzny świat mieszkańców tych domów. Czuli się oni jakoś bezpieczniej niż na zewnątrz, na ulicy. Poszukiwani przeze mnie ludzie mieszkali na piątym piętrze. Była to liczna rodzina, której głową był Samuel Glazer. Gdy zapukałem, przyjęło mnie ze zdziwieniem i pewną dozą nieufności. Dopiero list Romana rozwiął wszelkie obawy.

Dowiedziałem się, że zarówno brakujące części do zegarków, jak i całe zestawy do dalszej produkcji muszą dopiero zdobyć, a to niestety, trochę potrwa. Nie było szans na załatwienie tej sprawy od ręki. Dano mi list do Romana i zapytano, kiedy przyjdę powtórnie. Rad nierad wróciłem bez większych przeszkód do domu. Z listu wynikało, że Glazerowie z całą rodziną są bardziej zainteresowani urzuceniem się po aryjskiej stronie niż zdobywaniem brakujących części zegarków. Kooperację uwarunkowywali pomyślnym załatwieniem tej pierwszej sprawy.

Kolejne wyprawy

Najprostszym i zarazem najkorzystniejszym rozwiązaniem dla Kona było sprowadzenie Glazerów do nas. Rozpoczął więc podchody do mojego Ojca. – Czy Pan Inżynier nie zechciałby przyjąć jeszcze paru osób? – Początkowo Ojciec nie chciał o tym słyszeć, bo rodzina Glazerów liczyła 7 osób, więc te „parę” powiększyłoby grupę do 10 osób. Ojciec nie widział żadnej możliwości utrzymania tak licznej grupy w jednym małym pokoiku. Kon jednak nalegał, motywując konieczność udzielenia pomocy Glazerom tym, że postawili taki warunek dostarczenia niezbędnych części składowych do zegarków. Ojciec był bardzo przywiązany do domku z małym ogródkiem, w którym mieszkaliśmy, i trudno mu było podjąć decyzję zmiany, gdyż przyjęcie siedmioosobowej grupy wymagało znacznie większego obiektu, zlokalizowanego gdzieś „na odludziu”, a nie w centrum Zoliborza. Należało uzgodnić z zainteresowanymi, czy akceptują takie rozwiązanie, co oczywiście wiązało się z poniesieniem pewnych, dość znacznych kosztów, związanych z wynajęciem domu. Zaczęły się więc moje kurierskie podróże do getta, które nie zawsze przebiegały gładko i bez przygód. Pewnego razu, gdy zamierałem wyjść z getta, wystawiłem głowę ponad mur, aby rozejrzeć się w sytuacji. Zobaczyłem błyski i nim usłyszałem strzały, pospiesznie cofnąłem głowę. Seria z pistoletu maszynowego porozbijała cegły na koronie muru, a ja w popłochu uciekłem. Gdyby nerwy

żandarm odczekał chwilę i pozwolił mi wdrapać się na mur, rozplatałby mnie na filety. Innym razem, już po aryjskiej stronie, złapał mnie tajniak i musiałem mu „odpalić” żebrać dołą.

Kontakty z Glazerami dotyczyły tzw. wstępnych ustaleń, a także zaaranżowania spotkania mego Ojca z przedstawicielem ich grupy. Do spotkania doszło na Lesznie. Z getta na „przepustkę” (czyli za łapówkę) wyszedł J. Kryszek (brat Miny Glazer), który zaaprobował koncepcję mego Ojca i zobowiązał się do częściowej partycypacji w kosztach wynajmu domku na przedmieściach Warszawy. Należy tu zaznaczyć, że chociaż moja rodzina jakoś wiązała koniec z końcem, to w żadnym razie nie mogłaby się zdobyć na samodzielne zapłacenie odstępnego, wymaganego przy wynajmie domku czy większego mieszkania.

Przeprowadzka

Rozpoczęły się poszukiwania i po pewnym czasie na przełomie marca i kwietnia 1943 roku znaleziono wolno stojący domek w Wawrze pod Warszawą, dość dobrze spełniający założone wymagania. Przeprowadzka zajęła parę dni, ale największy problem pojawił się wówczas, gdy doszło do przerzutu naszych sublokatorów. Roman miał dość dobry wygląd i poruszał się po mieście samodzielnie, natomiast oboje Cytrynowie już samym wyglądem mogli podpaść Niemcom. Jednakże i ich udało się szczęśliwie przeprowadzić.

Teraz nastąpiły przygotowania do przyjęcia rodziny Glazerów. W celu zorganizowania całej operacji przerzutu zmuszony byłem jeszcze co najmniej raz udać się do getta, aby wszystko szczegółowo omówić i uzgodnić miejsce oraz termin przejścia ich po stronie aryjskiej. Wybrałem najbliższą niedzielę, gdyż sądziłem, że będzie wówczas względny spokój i może uda się wyciągnąć choć jedną osobę. W przeddzień, tj. w dniu 18 kwietnia, wybrałem się na Leszno późnym popołudniem i ze zdziwieniem zobaczyłem, że wzdłuż ulicy stoi cały sznur szaulisów (Litwini w służbie SS) i policjantów. Nie było najmniejszych szans na dostanie się do getta. Zrezygnowany skryłem się w pobliskie ruiny, aby przeczekać ten nalot. Czas upływał i zbliżała się godzina policyjna. Postanowiłem więc wracać do domu i skok odłożyć na sposobniejszą chwilę. Po wyjściu z ruin okazało się, że ulica jest zupełnie pusta. Policja i szaulisi zniknęli. Przedostałem się bez przeszkód do getta i po chwili byłem już u Glazerów. Rozmowy odłożyliśmy do następnego dnia i po wypiciu herbaty poszedłem spać. Około północy obudził mnie Herling: – Panie Jurek, niech pan wstaje, rozpoczęła się jakaś akcja.

Słychać było pojedyncze strzały, ale poza tym na zewnątrz panował spokój. Zaspany ubrałem się i powtórnie położyłem. Tak przedzemałem do rana. Gdy wstałem – rankiem 19 kwietnia w mieszkaniu był już wielki ruch i gorączkowe rozmowy. Dał się odczuć wielki niepokój. Tylko mała Halinka Herling i ja nie bardzo zdawaliśmy sobie sprawę z tego, co się wokół nas dzieje. Na podwórzu kręcili się niespokojni ludzie, nikt nie śmiał wyrzeć na ulicę. Niemcy strzelali do każdego, kto się pojawił, więc bezpieczniej było przebywać w domach lub na wewnętrznych podwórkach.

Pod wieczór zaczęły docierać wiadomości budzące coraz większy niepokój. W przeciwnym krańcu dzielnicy rozgorzała walka [19 kwietnia 1943 r. w getcie wybuchło powstanie – przyp. red.]. Żydzi walczyli z Niemcami, a to nie wróżyło niczego dobrego. Jednakże brak było szczegółowych danych. W ponurych nastrojach spędziliśmy noc z niedzieli na poniedziałek.

Następnego dnia napięcie trochę zelżało. Ludzie, aczkolwiek ze strachem, zaczęli wychodzić na ulice. Pod wieczór rozeszła się wiadomość, że we wtorek wszyscy mają się zgłosić na Umschlagplatz i będą wywiezieni z getta do obozów pracy. Naradzałem się z Glazerami, co robić. Znalazłem się w pułapce, praktycznie bez wyjścia. Cała ich grupa, przygotowując się do wyjścia z getta, miała już nawiązane kontakty ze specjalistami od przerzutów. Tylko czy w obecnej

sytuacji będzie można z nich skorzystać? Deklarowali oczywiście, że jak najbardziej mogą liczyć na ich pomoc. Wydawało mi się, że najlepiej zrobię, jeżeli poszukam rozwiązania na własną rękę, tym bardziej że jak udało mi się zauważyć, w podobnej sytuacji do mojej znalazło się kilku Polaków, którzy weszli do getta w sprawach handlowych. Miotali się bezradnie, nie wiedząc, co począć. Przeważał pogląd, że należy szukać drogi wyjścia kanałami. Jednakże każdy z projektodawców miał inną koncepcję, a wiele z nich było całkowiec przeciwstawnych. Zniechęcony wróciłem do Glazerów, gdzie przesiedziałem do wieczora. Ulice były pełne ludzi, gdyż na ten ostatni wieczór oblężonego miasta Niemcy odwołali godzinę policyjną.

Trudny powrót z misji

Powiedziałem, że jeszcze raz rozejrzę się w możliwościach samodzielnego działania i na pożegnanie zostawiłem im nasz adres w Wawrze – Błękitna 15. Poszedłem do mojego przejścia przy kościele na rogu Karmelickiej, ale wszelkie nadzieje rozwiały się, gdy spostrzegłem stojącego tam na posterunku uzbrojonego żołnierza. Moje zainteresowanie tym miejscem nie uszło uwagi kręcącego się w pobliżu młodego człowieka, który zapytał wprost, czy zamierzam pryskać przez mur. Gdy potwierdziłem, zapytał, co zamierzam robić po tamtej stronie. Zdziwił się, gdy mu powiedziałem, że pójde do domu. – Ty to masz dobrze, nam pozostaje tylko partyzantka. Nawet mam adres kontaktowy w Żyrardowie, ale jak się tam dostać? – mówił.

Było to oczywiście pytanie bez odpowiedzi. Poprosił mnie, bym przez chwilę pozostał i poczekał na jego powrót. Po paru minutach wrócił z sobowtórem. Był to jego brat bliźniak. Oznajmił mi, że ma flaszkę wódki i że będzie próbował coś załatwić z tym żołnierzem. Gdy żołnierz pakował butlę do kieszeni, powiedział coś w rodzaju, że wódkę przyjmuje, jednakże bez żadnych zobowiązań. Bliźniak zaproponował mu, żeby przespacerował się w przeciwny koniec ulicy. Żołnierz bez większego sprzeciwu zgodził się na mały spacer i nieco się oddalił, a cała nasza trójka błyskawicznie przedostała się na drugą stronę.

Wypada wyjaśnić, jak wyglądała okolica po drugiej stronie muru. W tym miejscu mur ciągnący się wzdłuż jezdnii ulicy Leszno skręcał w ulicę Karmelicką. Na drodze muru, nieco po stronie getta, stał duży transformator, przekazujący energię elektryczną na dzielnicę. Ponieważ transformator musiał być dostępny dla elektromonterów od strony aryjskiej, mur w tym miejscu zataczał półkole w odległości około pół metra od obudowy transformatora. W ten sposób powstała wygodna wnęka, zastonięta od frontu transformatorem.

Kiedy znaleźliśmy się we wnęcie, spróbowaliśmy – ostrożnie wychylając głowy – zlustrować sytuację. Mimo nocy (było nieco po dwunastej) zobaczyliśmy długi sznur obstawy policyjnej, która bacznie obserwowała mur. Blisko nas, na lewo, pośrodku ulicy stał żandarm i patrzył w głąb Karmelickiej. Powiedziałem chłopcom, żeby sobie wybili z głowy jakąkolwiek próbę przejścia ulicy na drugą stronę, bo jak tylko odejdziemy od muru, ze wszystkich stron będą do nas strzelać i poszatkują nas na kawałki. Nie przekonało ich to, mieli ogromny zapał bojowy, ale absolutny brak wyobraźni i oceny sytuacji. Zamierzali biegiem przebyć ulicę, wpaść do bramy przeciwnego domu i skryć się w ruinach. Pomysł miałby może 20–30 proc. szans powodzenia, gdyby brama była otwarta, ale ja wiedziałem, że wszyscy dozorczy z nastaniem godziny policyjnej zamykają bramy na głucho i ta szarża prowadziła do niechybnej śmierci. Wyłożyłem im swój punkt widzenia, a oni zaczęli się ze mną sprzeczać, aż wreszcie jeden z nich powiedział: – To ty jesteś tchórz, ty Polak i się boisz! Rzeczywiście bałem się tak strasznie, że strach paraliżował mnie całkowiec, ale na takie wyzwanie, mimo żadnej szansy przeżycia, determinacja wzięła górę i zrezygnowany odparłem: – Dobra, idziemy.

Przyciłem się do skoku, odmawiając ostatnią modlitwę za własną duszę, i gdy już mieliśmy wyskoczyć, usłyszałem w ciszy nocy miarowy odgłos kroków maszerującego oddziału. Wstrzymałem chłopców i zaczęliśmy nasłuchiwać. Kroki zbliżały się od ulicy Karmelickiej (była tam brama wejściowa do getta) i po chwili w odległości około 1,5 metra od nas przemaszerowała grupa granatowych policjantów. Kiedy nas minęli, przyszło mi poniewczasie do głowy, że mogliśmy spokojnym krokiem dotrzeć do nich, a później jakoś by się to załatwiło. Łatwiej pomyśleć, niż zrobić. Okazja minęła i znowu przyciailiśmy się do skoku. I tym razem dały się słyszeć kroki. Po chwili przeszła grupa czterech policjantów i trzech tajniaków. Wyszedłem z wnęki nieco za późno, a chłopcy po wyjściu zrobili dwa kroki i stanęli bezradnie. Grupa zaczęła się oddalać, a my staliśmy jak słupy soli.

Ruszyłem powoli na drugą stronę ulicy i kątem oka dostrzegłem, że chłopcy idą za mną. Patrzący za oddalającą się grupą żandarm po prostu zgłupiał. Ni stąd ni zowąd odrywa się od muru kilka postaci i niczym duchy posuwają się naprzód. Z pistoletem w ręku zaczął ostrożnie przesuwac się ku nam. Gdy doszliśmy do przeciwległego krawężnika, zapytałem drżącym głosem czy rozumie po polsku. Wtedy usłyszałem gromkie: – *Hände hoch!*

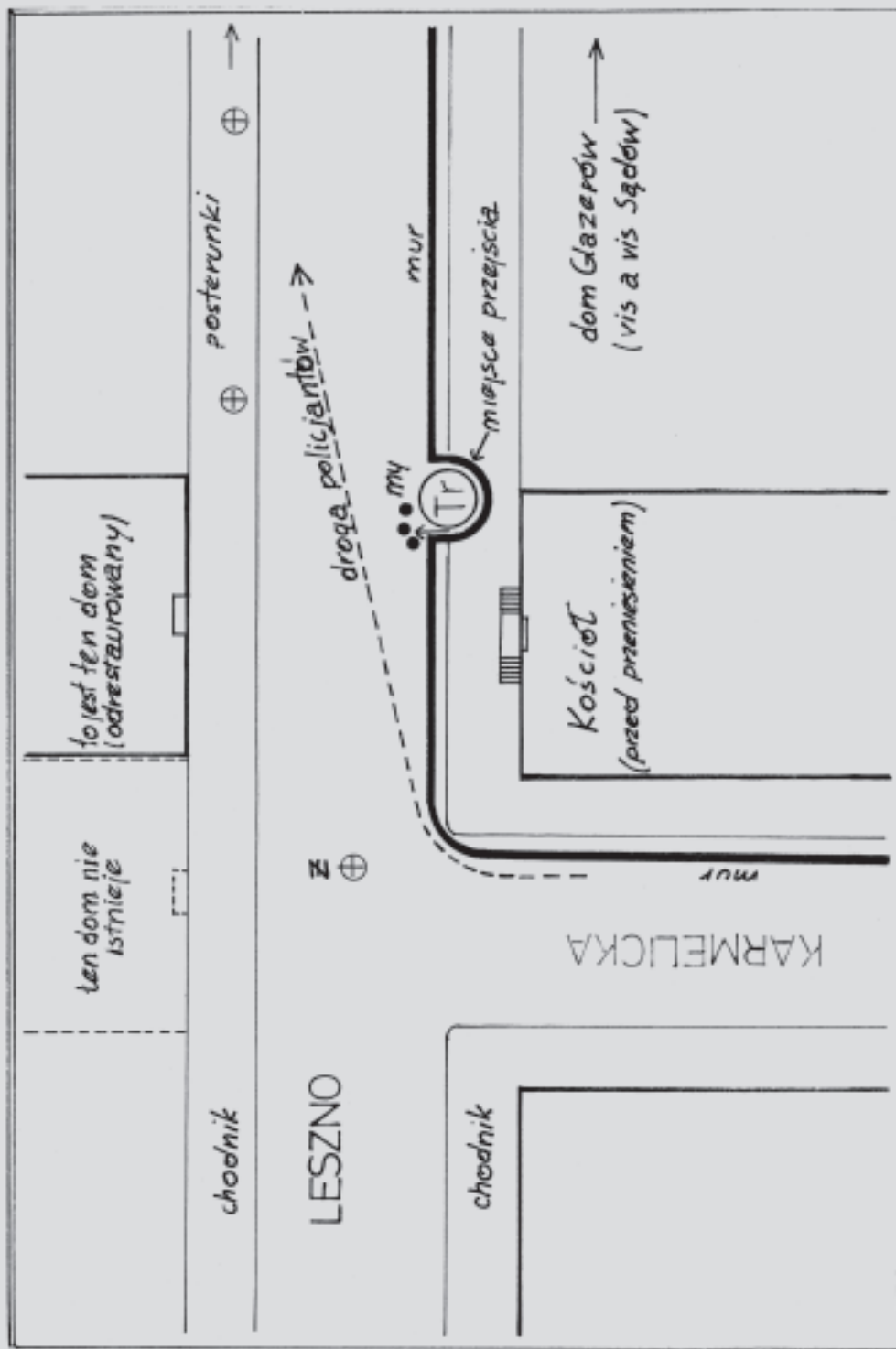
Twarzą do ściany, rewizja, serie strzałów w kierunku getta, zamieszanie, rwetes. Od niechybnej śmierci uratowało nas to, że szliśmy powoli. Gdy pierwsze emocje opadły, żandarm najczystsą polszczyzną zaczął nas przepytwać. Dotoczyło do niego kilku granatowych policjantów i rozpoczęła się rozmowa. Przede wszystkim starałem się przekonać żandarma, że jesteśmy handlarzami i wchodzimy do getta po różne towary, które tam można tanio kupić, a czasem zabieramy ze sobą artykuły żywnościowe, aby tam je korzystnie sprzedać. Obaj bracia bliźniacy, Schliferstein, mieli tzw. dobry wygląd i mówili poprawnie po polsku. Przezornie jednak mało się odzywali, więc żandarm nie powziął żadnych podejrzeń co do ich niearyjskiego pochodzenia i skłaniał się do puszczenia nas wolno. Jednakże nie bardzo wiedział, co z nami począć w środku nocy w tym zagrożonym rejonie.

Wtedy policjanci zaproponowali, żebyśmy do rana przesiedzieli w którymś z pustych mieszkań pobliskiego domu. Żandarm wyraził zgodę i policjanci odprowadzili nas do bramy, która oczywiście była zamknięta. Dopiero po długim łomotaniu zaspany dozorca otworzył i wpuścił nas do środka. Gdy wróciłem do domu, witano mnie jak zmartwychwstańca, gdyż wszyscy sądzili, że nie żyję.

Ucieczka Glazerów

Chyba po dwóch czy trzech dniach wczesnym rankiem obudziła mnie macocha: – Jurek, wstawaj! Jakaś pani dopytuje się o ciebie. Czy to aby nie od nich? – Miała na myśli Glazerów. W rzeczy samej, była to łączniczka od nich, pani Maria Widawska. Wyjaśniła, że grupa jest już po aryjskiej stronie – pod jej i kilku innych osób opieką. Prosi o natychmiastowe zabranie ich, gdyż przebywają na strychu jej domu i w każdej chwili może nastąpić dekonspiracja. W drodze na stację kolejową w Wawrze opowiedziała, jak udało im się wydostać z getta.

Po usilnych staraniach, za sowitą opłatą, Niemcy przetransportowali ich do tzw. małego getta, w rejonie ulicy Waliców, gdzie ewakuacja miała nastąpić nieco później. Tam udało im się nawiązać kontakt ze swymi byłymi pracownikami, paniami Ireną i Marią Kalisz, oraz ze wspomnianą panią Widawską. Przy ich pomocy i ludzi trudniących się przerzutami za pieniądze wydostali się z getta i szczęśliwie dotarli do domu przy ulicy Płockiej, gdzie ukryto ich na strychu. Jednak nie wszystkim się udało. Podczas przechodzenia przez mur podbiegł żydowski policjant i zatrzymał panią Andę Herling. Cała zaś grupa, która znajdowała się już po aryjskiej



Schemat ukazujący drogę ucieczki z getta

stronie, była ponaglana przez organizatorów ucieczki do opuszczenia zagrożonego terenu, gdyż mogli być przechwyceni przez niemiecką policję albo grasujących wokół getta szmalcowników. W ten sposób kontakt został zerwany i pani Herling niestety nie zdołała się uratować.

Gdy przybyliśmy na miejsce, ustaliliśmy plan ewakuacji. Najpierw poszły kobiety, Mina i jej siostrzenica Halinka Herling, której matka została w getcie. Trasa z Woli do Wawra była długa i niezmiernie czasochłonna, gdyż wymagała dwóch przesiadek tramwajowych, a potem pieszego, trwającego około godziny dojazdu do celu. Dotarliśmy około południa i natychmiast, już sam udałem się po następne osoby. Zabrałem brata Miny J. Kryszka (Jerzyk). Miał on względnie dobry wygląd i podróż odbyła się bez przeszkód. Tego dnia udało mi się jeszcze ściągnąć H. Herlinga, ojca Halinki. Z uwagi na zbliżającą się godzinę policyjną akcję trzeba było odłożyć do następnego dnia.

Z pozostałymi dwoma osobami sprawa była o wiele trudniejsza i znacznie bardziej niebezpieczna. O ile kuzyn Miny Icchak Kryszek miał zdecydowanie kiepski wygląd, to S. Glazer miał skrajnie zły, ale i ich udało się jakoś kolejno przetransportować. Najpierw Kryszka, a przed zmierzchem Glazera.

Wciąż nowi podopieczni

Dziewięcioosobowa grupa stanowiła dość znaczne zagrożenie, tym bardziej że nie mieli się gdzie schować, gdyby ktoś niepożądany pojawił się w domu. Przystąpiliśmy więc do budowy kryjówki – bunkra pod podłogą w niewykorzystanej części piwnicy. Zajęło to sporo czasu i wymagało wiele wysiłku, ale po paru dniach bunkier był gotowy. Dały znać o sobie pierwsze kłopoty ze stałą aprowizacją, teraz już trzynastu osób. Pojawiły się też, na razie niezbyt groźne, swary i kłótnie, które w przyszłości miały doprowadzić do bardzo poważnych konfliktów. Zaczęło się oczywiście od tego, że Glazerowie nie dostarczyli Romanowi obiecanych części zegarkowych, gdyż sytuacja, w jakiej opuszczali getto, była tak dramatyczna, że o takich sprawach nikt wówczas nie myślał. Jednakże dla Romana i Cytrynow była to kwestia bardzo istotna, gdyż skąpe środki były na wyczerpaniu, a nowych zdobywać nie mogli.

W tych trudnych czasach większość młodych ludzi starała się uczestniczyć w ruchu oporu. Działalność ta przybierała różne formy: od kolportażu prasy podziemnej, tzw. bibuły, poprzez mały sabotaż do zorganizowanej dywersji. Jako nowy w danym środowisku miałem duże trudności, żeby się gdzieś zahaczyć. Sporo czasu minęło, zanim się do mnie przekonano. Dzięki poręczeniu mojego znajomego Krzysztofa Sobieszczańskiego (ps. „Kolumb”) zostałem przyjęty do oddziału dowodzonego przez por. S. Sosabowskiego (ps. „Stasinek”). Oddział „Stasinka” wchodził w skład Kedywu Kolegium A. Czas dzieliłem więc na zdobywanie aprowizacji i załatwianie różnych spraw związanych z naszym życiem oraz na działalność w organizacji. Ze zrozumiałych względów ani jednym, ani drugim nie mogłem powiedzieć o moich „podwójnych” obowiązkach, w związku z czym musiałem niejednokrotnie zręcznie lawirować, aby z jednej strony sprostać obowiązkom, a z drugiej wypełniać rozkazy.

W drugiej połowie lipca 1943 roku Glazer poprosił mnie do siebie i zapoznał z żoną swojego najmłodszego brata Sewka. Szwagierka Glazera miała na imię Fania (Nowik) i odznaczała się nieprzeciętną urodą. Do nas przyprowadziła ją Irena Kalisz, która często załatwiała Glazerom różne sprawy finansowe. Fania wraz z mężem, siostrą Basią i jej mężem Mietkiem (małżeństwo Chwat), teściem, ojcem obu Glazerów oraz trójką osób z dalszej rodziny, zamieszkiwała na ulicy Stalowej. Wspomniana trójka osób została aresztowana na ulicy. Zdarzenie to widziała Fania i zachodziła obawa, że po nitce do kłębka policja dotrze do miejsca ich zamieszkania. Starego ojca postanowiono zabrać do Wawra, a dla obu małżeństw nie-

Jérusalem, le 30 avril 1966

Monsieur
Jerzy Kozminski
Parasolowa 5/25
Varsovie 25
Pologne

Cher Monsieur,

Vous avons l'honneur de vous faire savoir qu'en sa séance du 16 février 1964 la Commission des Justes près l'Institut Commémoratif Yad Vashem, a décidé, après enquête préalable, de vous décerner un Diplôme d'Honneur pour la vaillance et la solidarité humaine dont vous avez fait preuve en sauvant des Juifs au péril de votre vie, sous l'occupation allemande.

Comme vous deviez le savoir, Madame Teresa Kozminska, lors de son premier séjour en Israël, a plaidé en votre en son et a votre nom dans l'Allée des Justes sur le Mont du Souvenir à Jérusalem.

La remise du Diplôme sera effectuée par l'Ambassade d'Israël à Varsovie.

La date de la remise du Diplôme vous sera communiquée ultérieurement.

Veuillez agréer, cher Monsieur, l'expression de notre haute considération.

Edward A. Golber
Edward A. Golber
Vice-Président du Comité Exécutif
de Yad Vashem

Meir Lichon
Meir Lichon
Président de la Commission
des Justes



Zawiadomienie o przyznaniu tytułu „Sprawiedliwego wśród narodów świata”. Medal otrzymany przez Jerzego Kozmińskiego. Poniżej: podpis pod drzewkiem pamięci.



oceniony pan Łycki obiecał znaleźć lokum. Stary Glazer (Józef Mordechaj) był bardzo religijny. Nosił długą, gęstą brodę, a ponadto miał bardzo zły wygląd, jak zresztą obaj jego synowie. Nie bez oporów zgodził się na zgolenie brody. Zostawiono mu tylko sumiaste wąsy. Ucharakteryzowano go na starego wieśniaka, dodając czapkę maciejówkę, proste buty z cholewami i jakiś stary surdut. Tak przebrany rzeczywiście wyglądał na starego chłopca. Macocha i ja szliśmy o krok przed nim, tworząc jakby zastonę, a staruszek szedł za nami z opuszczoną głową i pewnie modlił się do Boga o łaskę. Pan Bóg widać wysłuchał jego modlitw, gdyż w samo południe dotarliśmy do Wawra, gdzie dziadek połączył się ze swoimi bliskimi.

Nowe mieszkanie dla pozostałych osób znalaziono na ulicy Hożej 38. Rozpocząłem kolejne konwojowanie. Z siostrami nie było problemów, natomiast z ich mężami sprawa nie była taka prosta. Mietek miał dość dobry wygląd, był bardzo wysoki (ponad 185 cm) i przystojny, ale w semickim typie. Pojawienie się na ulicy takiego drągala mimo woli ściągano spojrzenia przechodniów. Przejście z nim zaryzykowałem na krótko przed godziną policyjną, gdyż w tym czasie bywało na ulicach mniej ludzi.

Następnego dnia, gdy przybyłem po Glazera, była niedziela i mały ruch na ulicach. Mieliśmy dla niego mundur kolejarza. W takim przebraniu, z duszą na ramieniu, doprowadziłem go do reszty rodziny.

Rodzinami Glazerów i Chwatów opiekowałem się niezależnie od grupy wawerskiej. Spełniałem też rolę łącznika między nimi. Mieszkanie na Hożej było na parterze i ściana pokoju przylegała do pomieszczeń teatryku rewiowego, który znajdował się w tym domu. Właściciel mieszkania urządził sprytnie zamaskowany włącznik do schowka – bunkra, który był zlokalizowany pod sceną owego teatru. Obie rodziny w czasie Powstania Warszawskiego wyszły na powierzchnię, a po jego upadku schowały się na powrót do bunkra, gdzie wszyscy przetrwali do wyzwolenia Warszawy. Po wyzwoleniu przenieśli się do Łodzi, skąd w 1947 roku wyemigrowali do Argentyny. Z grupy argentyńskiej żyje tylko Fania w domu opieki dla starców w Buenos Aires.

Siostry Kalisz ukrywały trzyosobową rodzinę Seifmanów – mąż, żona i mały syn. Pobyt tej rodziny stwarzał wiadome zagrożenie i kłopoty aprowizacyjne. Ponadto Seifman był człowiekiem bardzo kontrowersyjnym i niezrównoważonym psychicznie. Aby się ich pozbyć, Irena Kalisz wpadła na pomysł, żeby tę rodzinę ulokować u nas w Wawrze. Przeprowadziła więc całą trójkę pod furtkę domu i nie bacząc na zagrożenie ani na sąsiadów, zażądała, aby natychmiast ich przyjąć, gdyż w przeciwnym razie pójdą prosto na żandarmerię.

O ile życie dziesięciu osób było w miarę spokojne; sprzeczki wynikały głównie podczas rozdawania jedzenia i ustalania wkładu pieniężnego, o tyle przybycie Seifmanów dom zamieniło w piekło. Kłótniom i awanturom nie było końca. Główne niebezpieczeństwo polegało na tym, że w częstych napadach szału Seifman wykrzykiwał na cały głos w języku jidysz przeróżne inwektywy pod adresem współtowarzyszki niedoli. Tylko przed moim Ojcem czuł jaki taki respekt. Niebывałemu szczęściu i niezwykle przyzwoitej postawie sąsiadów należy zawdzięczać przetrwanie w tych warunkach do wyzwolenia, które nastąpiło w sierpniu 1944 roku.

Ojciec mój, myśląc realnie i trzeźwo oceniając sytuację, był przekonany, że to skłócone zbiorowisko ludzi nie ma prawie żadnych szans przeżycia, dlatego bez większego sprzeciwu zgodził się, aby Kon dołączył do naszej grupy swojego małego synka Juleczka. Roman nie miał już czym płacić kobiecie, która przechowywała chłopca, i słusznie sądził, że dziecko wyżywi się przy pozostałych, a może obawiał się, że nie przeżyją, i chciał umrzeć wraz z synem.

Późną wiosną 1944 roku do Wawra przybył bardzo przejęty pan Łycki. Ośmioosobowa grupa Żydów, pozostających pod jego opieką, znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeń-

Provisional identification card
for civilian internee of Mauthausen.

Vorläufige Identitätskarte für Mauthausen, Gruppe Zivilisierter.

Current number 6625 Internee number 42581
Layfende Nr. Haftlings-Nr.

Family name K O Z M I N S K I
Familienname

Christian name Jerzy
Vorname

Born 31.8.24. Lodz
geboren

Nationality Polska
Nationalität

Address WARSZAWA, UL. SULKOWSKIEGO 49.
Adresse

Fingerprint:
Fingerabdruck

Signature:
Unterschrift

Jerzy Kozminski

Mauthausen, am

Ausweis - Certification.

K O Z M I N S K I Jerzy

Herr
Mister

geb. am 31.8.24. in Lodz
am

zuletzt wohnhaft Warszawa, Ul. Sulkowskiego 49.
letz domicile

wurde vom 26.10.43. bis

in nationalsozialistischen Konzentrationslagern gehalten
gelitten und vom Konzentrationslager Mauthausen in
Freiheit gesetzt.

was kept in captivity from 26.10.43 to
in Nazi-German concentration camps and was liberated from the conven-
tion camp of Mauthausen.

Unterschriften und Stempelle
Signatures and stamps:



Group 10
Mauthausen

Lagerkommandant
Camp commandant

Mauthausen, am

1788 43

stwie i należało ich niezwłocznie ewakuować. Uprosił mojego Ojca, aby na 2–3 dni przyjął tę grupę, a on w tym czasie znajdzie im nowe mieszkanie. Grupa, której przewodził starszy wiekiem pan Wurga, zamiast paru dni przebywała trzy tygodnie (łącznie 22 osoby), a pan Łzycki ewakuował ich na nowe miejsce. Mieszkanie znajdowało się w prawobrzeżnej części Warszawy, na Pradze. Po wybuchu Powstania tę część Warszawy już w sierpniu zajęła Armia Czerwona i cała grupa Wurgi ocalała.

Konspiracja i obóz koncentracyjny

W ciągu lata i jesieni 1943 roku brałem udział w różnych akcjach dywersyjnych, obstawach, egzekucjach konfidentów itp. W nocy z 23 na 24 października uczestniczyłem w udanej akcji wykolejenia pociągu relacji Berlin–Wołkowysk, który wiozł oficerów i żołnierzy z urlopów oraz zaopatrzenie na front wschodni. Akcja zakończyła się pełnym sukcesem. Dwa dni później, 26 października, otrzymałem od dowódcy drużyny K. Jakubowskiego polecenie udania się na Bielany w celu zakupienia dwóch pistoletów. Wręczył mi 12 tysięcy złotych i poprosił o pośpiech. Ten właśnie pośpiech okazał się fatalny, gdyż chcąc jak najlepiej i jak najszybciej wypełnić powierzone mi zadanie, pomknąłem do przystanku tramwajowego na placu Wilsona. Tam wpadłem w środek tapanki i oczywiście zostałem zatrzymany. Zgubiło mnie te 12 tysięcy złotych, które przy mnie znalaziono. Usłyszałem krótkie – *Komm mit!*

Niebawem znalazłem się w siedzibie gestapo na Szucha. Tam zostałem poddany ostremu przesłuchaniu, ale nie pękłem. Zostałem przewieziony na Pawiak i tam także od czasu do czasu urządzano mi „przepytywanke”.

10 listopada wywołano mnie z celi wraz z wieloma innymi więźniami. Byłem przekonany, że to nasze ostatnie chwile, że biorą nas na rozwałkę. Pod zbrojną i liczną eskortą odstawiono nas na dworzec towarowy i załadowano do dwóch wagonów-więźniarek. Jechaliśmy całą noc. Rano wypędzono nas z wagonów, ustawiono w piątki i popędzono w stronę niedalekich zabudowań. Stanęliśmy przed bramą, nad którą widniał napis: „ARBEIT MACHT FREI”. Był to obóz w Oświęcimiu.

Po dwóch miesiącach przewieziono mnie do Mauthausen. Tam dopiero dano mi poznać „radość życia”. Pobyt w obozach to najczarniejsza karta mego życia. Byłem młody, miałem 19 lat, więc byłem zupełnie psychicznie nieodporny na takie przeżycia. W pamięci pozostało mi stałe uczucie dręczącego głodu, cierpienia spowodowane ropiejącymi ranami na nogach i przeraźliwie długie stanie na apelach. Każdy z nas na klęczkach wróciłby do „sympatycznego” Auschwitz. Po paru tygodniach kwarantanny, w ciągu której wyżywali się na nas kryminaliści, zostaliśmy przewiezieni do tzw. „Aussenkommando”, do pracy w fabrykach lotniczych firmy Heinkel Werke. Obóz mieścił się pod Wiedniem w miejscowości Schwechat-Heifeld. Dziś jest tam lotnisko cywilne obsługujące Wiedeń. Pracowaliśmy po 12 godzin na dobę przez 7 dni w tygodniu. Podczas całego pobytu mieliśmy tylko dwa dni wolne od pracy, pierwsze dni Świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy. W lipcu 1944 roku alianckie bombardowanie zniszczyło całe zakłady, a przy okazji także obóz. Przeniesiono nas do innego obozu, który obsługiwał podziemną fabrykę w Mödling.

W pierwszy dzień Świąt Wielkanocnych, 1 kwietnia 1945 roku, ewakuowano cały obóz przed nacierającą Armią Czerwoną. Szliśmy przez tydzień do Mauthausen. Wielu więźniów padło z wycieńczenia po drodze. Gdy przybyliśmy, sfloczono nas w jednym baraku. Obóz przyjmował stale grupy z tzw. „Aussenkommando”. Byliśmy przeznaczeni do gazu, w związku z czym racje żywnościowe były skrajnie głodowe, bochenek spleśniałego chleba na dwunastu więźniów

dziennie. Gazowano blok za blokiem. Jednakże wydajność krematorium nie była duża, mimo że piece pracowały całą dobę. Ludzie padali z głodu, stwierdzono nawet przypadki kanibalizmu.

4 lub 5 maja do obozu podjechały dwa amerykańskie samochody pancerne. Gdyby przybyli trzy–cztery dni później, cały mój blok razem ze mną wyleciałby przez komin. Na szczęście stało się inaczej. Zachowaliśmy życie, ale w stanie krańcowego wyniszczenia organizmu. Leżałem nago w ciepłym, majowym słońcu, obok stosu trupów, szkieletów, czekając zrezygnowany na to, kiedy przyjdzie kolej na mnie. Nie pamiętam, jak znalazłem się w szpitalu, który Amerykanie urządzili w dużej hali fabrycznej. Potem było kilka przenosin, ale ile razy i dokąd, tego nie umiem sobie przypomnieć. Panowała powszechnie krwawa dyzenteria i sporo ludzi umierało, chociaż jedzenia było ile kto zapragnął. Jeść się nie dało, gdyż wszystko, co się przełknęło, przelatywało jak przez kaczkę.

Wreszcie po paru tygodniach przewieziono nas do Gusen 2 i tam w blokach dawnego „rewiru” (szpitala obozowego) urządzono coś w rodzaju ośrodka dla rekonwalescentów. Ozdrowienie następowało bardzo powoli i to, że jeszcze żyłem, zawdzięczałem zapewne swoim dwudziestu latom. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że mimo braku postępów w leczeniu dolegliwości gastrycznych ropiejące rany na nogach zaczęły się same powoli goić.

Przy obozie urządzono ogromny cmentarz, na którym ci, którzy mieli być spaleni, a nie zdążono tego zrobić, albo nie przeżyli pierwszych dni wolności, znaleźli wieczny odpoczynek. Jak się znacznie później – po przeszło 30 latach – dowiedziałem, nie był to jednak wieczny spoczynek. Po pewnym czasie Austriacy zlikwidowali cmentarz, a na terenie dawnego obozu zorganizowano przemysłowe gospodarstwo rolne.

Gdy patrzyłem wtedy na las białych krzyży, wśród których tu i ówdzie widniały gwiazdy Dawida, usilnie zapragnąłem spocząć w ojczystej ziemi. Nawet na byle jakim, ale swoim cmentarzu, byle nie tu, wśród szeregu obcych ludzi, na tej przekłętej ziemi.

Powrót

W końcu lipca 1945 zapisałem się na wyjazd do kraju, mimo że wszędzie straszono natychmiastową zsyłką na „białe niedźwiedzie”. Mnie było już jednak wszystko jedno. Bałem się tylko, czy zdołam przeżyć trudy podróży i nie umrę w drodze. Byłem tak słaby, że ledwo dowlokłem się do odległego o 2 km Mauthausen, z którego miał wyruszyć konwój amerykańskich samochodów do Czechosłowacji. Na drogę wydano nam jako ubrania dawne mundury afrykańskiego korpusu Rommla i długie, sznurowane, skórzano-brezentowe buty pustynne.

Dotarliśmy do Budziejowic, które były tak udekorowane czerwonymi flagami, gwiazdami i portretami Stalina, że wyglądały jak Plac Czerwony podczas uroczystości pierwszomajowych. Przeżyliśmy szok i czym prędzej poszukaliśmy pociągu, który zmierzał ku Polsce. Siedzieliśmy w wagonie gęsto obok siebie i rozmawialiśmy o tym, co nas czeka w kraju. Naprzeciwko mnie siedziała młoda Żydówka i nie włączyła się do rozmowy. Byłem ciekawy, jak udało się jej to wszystko przejść, więc zapytałem nieśmiało: – W jaki sposób udało się pani przeżyć? – Pracowałam w obozie jako szwaczka – odparła. – Szyliśmy koszule i bieliznę dla wojska, więc jako użytecznych oszczędzono nas, a pod koniec nie zdążono zgładzić.

– To bardzo dobrze – odpowiedziałem. – U nas w domu ukrywała się grupa Żydów, którzy też mieli coś wspólnego z branżą bieliźniarską, ale wszyscy zginęli.

Nie wiem, dlaczego to powiedziałem, jednak byłem święcie przekonany, że wszyscy zginęli podczas Powstania, albo może jeszcze przedtem. W dziewczynie odezwała się żydowska ciekawość, więc z ożywieniem zapytała:

– Bieliźniarze! A jak się nazywali?

– A co to pani powie, przecież i tak już ich nie ma.

– Ale co to panu szkodzi? Niech pan powie.

– Nazywali się Glazerowie. Mieli wytwórnię koszul „Veritas” w Łodzi.

– Panie! To ja u nich pracowałam. Byłam tam szwaczką. I oni nie żyją? Jaka szkoda!

Na tym rozmowa się urwała. Wszyscy przysłuchiwali się temu dialogowi, ale gdy opowiadanie kończy się wiadomością o czyjejś śmierci, nawet zupełnie obcej osoby, ludzi ogarnęła jakaś zaduma.

Dalsza rozmowa nie kleiła się. Ten i ów drzemał, aż dojechaliśmy do stacji, na której trzeba było się przesiadać do innego pociągu. W trakcie kolejnych przesiadek grupa rozproszyła się. Wreszcie dotarliśmy do punktu repatriacyjnego w Czechowicach-Dziedzicach. Trudno dziś opisać wzruszenie ludzi, gdy znaleźli się na ojczystej ziemi. Panował ogólny płacz i dały się słyszeć słowa odmawianych głośno dziękczynnych modlitw.

Byłem całkowicie niezdecydowany co do wyboru dalszej drogi i celu podróży. Warszawa zrujnowana i wszyscy, jak sądziłem, nie żyją, więc nie ma po co tam jechać. Pozostawało moje rodzinne miasto Łódź. Tam się urodziłem, zatem tam powinienem umrzeć. Ciągłe miałem przekonanie, że to musi niebawem nastąpić, gdyż w takim stanie nie da się żyć.

Wybrałem pociąg do Kuluszek, skąd po kolejnej przesiadce dotarłem do Łodzi. Pociąg zjechał na dobrze mi znaną stację Łódź Fabryczna. Odszukałem schronisko Czerwonego Krzyża, które – o ile dobrze pamiętam – było na ulicy Kilińskiego. Wyszedłem na spacer po mieście, przemierzając wolnym krokiem znane ulice, którymi zdążyłem codziennie do szkoły. Idąc ulicą Nawrot, spostrzegłem zbliżających się dwoje starszych ludzi, mężczyznę i kobietę, bardzo nobliwie wyglądających i jakoś dziwnie mi znajomych. Gdy mnie mijali, zatrzymałem się i powiedziałem:

– Przepraszam państwa. – Oboje przystanęli, widocznie zaciekawieni. – Bardzo przepraszam, ale wydaje mi się, że ja państwa znam.

Wtedy owa pani przedstawiła się: – My nazywamy się Radke. – Natychmiast stało się jasne, skąd ich znam. Mój dziadek, który był emerytowanym dyrektorem handlowym firmy Scheibler i Grohman, mieszkał – jakby się to dzisiaj powiedziało – w osiedlu, w którym domek państwa Radke sąsiadował z naszym. Byliśmy sąsiadami. Z kolei ja się przedstawiłem jako wnuk Snaya,



Od prawej na kanapie: Samuel i Mina Glazer – szczęśliwi dziadkowie, a w pierwszym rzędzie pierwsza od lewej Halina Friedman z d. Herling z najstarszym synem, synową i wnukiem.

bo tak nazywał się mój dziadek. Zainterесowali się, skąd na mnie taki dziwny strój, skąd przybywam itd. Gdy dowiedzieli się, że wróciłem z obozu, zapytali, czy odnalazłem rodzinę. Na moje oświadczenie, że nie, gdyż zapewne nikt nie przeżył, pani Radke odrzekła: – Ależ tu mieszka pana wuj i ciotka, która mieszkała w Warszawie, a teraz są razem. – Oczywiście domyślałem się, o kogo chodzi, ale trzeba było ich teraz odnaleźć. Nieskładnie wyraziłem swoją radość i podziękowałem za tę wiadomość. Okazało się, że państwo Radke znali także adres.

– Pana wuj mieszka na ulicy Jaracza 13 lub 15. To musi pan sprawdzić. Ulica Jaracza to dawna Cegielniana, niedaleko stąd.

Rzeczywiście nie było daleko, parę minut drogi, ale dla mnie daleko, wlokłem się z niepewnością w sercu, chyba więcej niż godzinę. Pod piętnastym faktycznie mieszkali moi wujostwo. Byli w domu. Radosne powitanie, bezładne pytania. Trudno dziś pamiętać, co w takich chwilach się mówiło. Jedną z najważniejszych informacji, jaką mi na wstępie przekazano, było to, że Ojciec mój żyje i mieszka na Wybrzeżu w okolicach Gdańska. Zatrzymali mnie u siebie i zalecali odpoczynek. Jednak mimo słabości nie mogłem usiedzieć w domu i snułem się po ulicach.

Pewnego dnia, gdy już wracałem, przechodziłem obok teatru Jaracza. Z przeciwnej strony nadciągała grupa roześmianej i hałaśliwie rozmawiającej młodzieży. Odsunąłem się od gablotek na skraj chodnika, żeby przepuścić tę hałaśliwą gromadę i gdy mijali mnie, odezwał się nagle głos:

– Proszę pana! Proszę pana! – Była to dziewczyna z pociągu. – Pan Glazer nie zginął. On przeżył z całą rodziną i mieszka teraz tu w Łodzi.

Gdy to powiedziała, zaczęła coś mówić po żydowsku do swoich towarzyszy. Naraz zrobiło się cicho jak makiem zasiał, a potem zwróciła się do mnie: – Proszę pana, pan Glazer jest kierownikiem zakładu, który szyje mundury dla wojska. Ten zakład jest na ulicy Zachodniej.

Podawała mi numer, którego już dzisiaj nie pamiętam, życzyła zdrowia i pożegnała się. Odeszli, a ja stałem jeszcze zaszokowany tą wiadomością. Następnie skierowałem się ku ulicy Zachodniej, choć byłem już trochę zmęczony. Gdy wszedłem do zakładu i mocowałem się z dużymi, okutymi blachą drzwiami, ktoś złapał mnie za szyję i dał się słyszeć okrzyk: – Panie Jurek, pan żyjesz?!

Był to Glazer. Powstało zamieszanie i ogólna konsternacja. Pan dyrektor ściska jakiegoś wynędzniałego półtrupca. Zaczęły się gorączkowe rozmowy i wyjaśnienia dla otoczenia co do mojej osoby. Stałem się obiektem ogólnego zainteresowania. Z kolei Glazer poinformował mnie o dalszych losach grupy i szczęśliwym doczekaniu wyzwolenia. Członkowie jego rodziny z byłej grupy wawerskiej, a także kilka innych osób, którym udało się przeżyć, mieszkają na ulicy 11 Listopada w pobliżu placu Wolności. Udaliśmy się tam razem, a Glazer ciągnął swoją opowieść.

Dotarliśmy do domu, gdzie nastąpiło serdeczne powitanie. Chcieli mnie ugościć jedzeniem, podczas wojny bywałem zawsze głodny, co też widocznie zapamiętali, ale ja jeść nie mogłem, gdyż mój organizm prawie nic nie trawił.

Poprosili o stały kontakt i obiecali zająć się moim leczeniem. Tak też się stało, skierowano mnie do jakiegoś lekarza, podobno wybitnego gastrologa. Lekarz przebadał, wypytał, zapisał leki i zalecił specjalną dietę. Ostrzegł, że proces powrotu do zdrowia będzie długotrwały, i jednocześnie zapewnił, że o umieraniu nie ma co myśleć. W istocie coraz mniej myślałem o śmierci, a coraz więcej o wyzdrowieniu. Poprawa zdrowia, chociaż powolna, następowała.

Po pewnym czasie, gdy nieco okrzepłem, pojechałem na Wybrzeże szukać Ojca. Nie było to łatwe, ale i jego odnalazłem. Mieszkał w Sopocie i był dyrektorem technicznym

w przedsiębiorstwie komunikacyjnym. Zamieszkałem razem z nim i wkrótce podjąłem normalną naukę w szkole. Z wolna powracałem też do zdrowia.

Losy ocalonych

We wspomnieniach opowiedziałem o własnych przeżyciach i odczuciach, a wszystko to było widziane moimi własnymi oczami. Wyjątek stanowią informacje uzyskane od mojego Ojca, które dotyczyły okoliczności przybycia Seifmanów, Juleczka Kona i ośmioosobowej grupy Wargi, a także o sytuacji wewnętrznej, jaka wytworzyła się po ich przybyciu.

Gdy powróciłem z obozu i odnalazłem Ojca w Trójmieście, mieliśmy sobie wiele do opowiedzenia. Ja opowiadałem Ojcu o przeżyciach obozowych, on natomiast o tym, co działo się w domu. Od tych wydarzeń dzieliło mnie wtedy kilka, a Ojca kilkanaście miesięcy, więc o wszystkim się dobrze pamiętało i żadna informacja nie obrosła mitem i legendą.

Przeżycie całej grupy w tych ekstremalnie trudnych i wewnętrznie skomplikowanych warunkach jest przede wszystkim niewątpliwą i niepodlegającą dyskusji zasługą mego Ojca, który świadomie podjął śmiertelne ryzyko dla siebie i całej naszej rodziny, przechowując tak dużą grupę. W dużej mierze należy to zawdzięczać także postawie Glazerów, którzy łożyli środki finansowe na utrzymanie wszystkich, zarówno swoich krewnych, jak i pozostałych obcych i niezbyt przyjaznych im Żydów, a także swoich opiekunów. Oprócz mojego Ojca, macochy i mego braciszka Januszka była do opieki nad nimi opiekunka niania, młoda Marysia Bronicz, pół-Żydówka, o czym wówczas nikt nie wiedział, i ojciec mojej macochy pan Piotr Szymko, do którego obowiązków należała aprowizacja dla 19 osób, a przejściowo, podczas pobytu grupy Wargi, dla 27 osób. Z jakimi trudnościami było to związane i dlaczego wszyscy wciąż byli głodni, może zrozumieć tylko ten, kto sam przeżył ten czas apokalipsy wojennej.

W tygodniach poprzedzających wybuch Powstania Warszawskiego dał się odczuć duży ruch wojsk niemieckich, uciekających przed nadciągającą Armią Czerwoną. Na początku sierpnia, daty niestety nie mogę dokładnie określić, Niemcy zarządzili ewakuację ludności cywilnej, która miała podlegać internowaniu. W domu zapanowała panika, gdyż dla wszystkich było jasne, co by się stało, gdyby wyszli na ulicę. W tej sytuacji postanowiono, że Ojciec i pan Szymko, jako jedyni lokatorzy domu przy ulicy Błękitnej 15, wyjdą o określonej godzinie na zewnątrz, gdzie będzie grupowany konwój internowanych. Pozostali, także moja macocha z Januszkiem, ukryli się w tym czasie w piwnicznym bunkrze. Zdaje się, że wśród nich nie było już Marysi Bronicz, ale tego nie mogę stwierdzić z całą pewnością. W bunkrze panował taki ścisk, że z trudnością mógł pomieścić wszystkich w pozycji stojącej.

Technika ukrywania czy maskowania polegała na tym, że w pokoiku nad bunkrem stał mały, wyprawowy kredensik mojej Matki. Był pusty, a więc nieobciążony, łatwy do przesuwania. W podłodze wycięto właz mniej więcej o wymiarach 60 x 40 cm. Pokrywą włazu stanowiły wycięte z podłogi i zbite razem trzy deski. Tę pokrywą układano przy włazie pod dolną półką kredensika. Następnie od dołu przesuwano kredensik nad właz, a potem nasuwano, również od dołu, pokrywą, która przykrywała właz. Dolna półka, która maskowała właz, była usytuowana około 15–20 cm nad podłogą, dzięki czemu pokrywą można było nieco unieść do góry i przez tak powstałą szczelinę obserwować, co się dzieje w przyległym pokoju.

Przeżażeni i sfłoczeni w bunkrze ludzie przeżyli ciężkie godziny wyczekiwania na ocalenie, ale nikt z nich nie wyobrażał sobie, jak to miałoby nastąpić. W pewnej chwili usłyszano tupot nóg, nawoływania i głośne rozmowy. Niepoprawny Seifman, wiedziony ciekawością, wyjrzał przez szparę i zmartwił się z przeżażenia zdołał wyjąkać: Własowcy!

Fania Cytryn, która pochodziła z dawnych kresów wschodnich, bezbłędnie rozpoznała język rosyjski. Podsadzono ją do wjazdu i przez szparę ujrzała kręcących się po pokoju żołnierzy. Rozpoznała czerwonooarmiejców i wykrzyknęła: – To Ruscy! Jesteśmy uratowani!

Teraz wypadki potoczyły się błyskawicznie. Odsunięto kredens i pierwszy wyskoczył Seifman. Nie bacząc na wycelowane w niego pepesze, zaczął biegać po pokoju, wykrzykując: – My Jewreje!

Tymczasem z otworu zaczęli się wydostawać coraz to nowi ludzie, przepychając się jeden przez drugiego. Zdezorientowani żołnierze opuścili pepesze i widząc dzieci i kobiety, zaczęli pomagać im wychodzić. Fania, która znała język rosyjski, wyjaśniła, kim są i dlaczego przebywali w ukryciu. Wówczas jakiś bardziej rozzamięty żołnierz powiedział, żeby zaraz opuścili dom i udali się w stronę Falenicy, gdzie stacjonowało Wojsko Polskie.

Tym jakże szczęśliwym ludziom nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Każdy złapał co mógł ze swego niewielkiego dobytku i uciekał we wskazanym kierunku. Zegarmistrz Cytryn na pamiątkę zabrał moją marynarską czapkę, tzw. sejmankę. Włożył ją na głowę i paradował w niej do Falenicy. Podobno wyglądał przekomicznie. Czapka ta w swoim czasie odegrała rolę ważnego rekwizytu podczas przeprowadzania Samuela Glazera.

Tymczasem Ojciec i pan Szymko, którzy wcześniej zostali zgarnięci sprzed domu, byli prowadzeni w kierunku Grochowa. Ojciec, który znał znakomicie język niemiecki, podszedł do jakiegoś starszego wiekiem wehrmachtowca, który okazał się Austriakiem, i rzekł do niego: – Słuchaj kamrat, ja jestem obywatelem szwajcarskim (na dowód pokazał mu stary paszport szwajcarski z okresu I wojny światowej, kiedy to studiował w St. Gallen), pozwól mi odejść z powrotem wraz z moim krewnym. Żołnierz najpierw obejrzał paszport, potem rozejrzał się wokół siebie i rzekł: – *Los! Aber schnell!* Obaj pośpiesznie zawrócili i bez przygód dostali się do Wawra. Gdy nadeszli, dom opanowany był przez szabrowników, którzy wynosili, co tylko się dało. Uratowano smętne resztki, ale wszystko co cenniejsze było już wyniesione.

Wraz z grupą uciekinierów do Falenicy poszła także moja macocha wraz z Januszkiem. W Falenicy było już Wojsko Polskie. Wśród tamtejszego korpusu oficerskiego było kilku Żydów, którzy zainteresowali się uciekinierami i zorganizowali im pomoc. Część z nich, z Seifmanem na czele, udała się do Otwocka. W Otwocku Seifman rozwinął szeroko działalność handlową, rozpoczynając z przystawionym płótnem w kieszeni. Wkrótce zastąpił w miasteczku jako człowiek interesu. Po pewnym czasie przeniósł się do Łodzi, gdzie pozostał na stałe.

Nie obyło się jednak bez dramatów osobistych. Wdowiec Roman Kon poderwał Seifmanowi żonę, podobno straszna jędrę, doprowadził do rozwodu i ożenił się z nią. W małżeństwie mego Ojca też nastąpił rozłam i każde z nich, tj. Ojciec i macocha, poszło swoją drogą. Nie spotkali się już nigdy.

Ojciec mój zmarł w 1954 roku. Macocha wyjechała w 1964 roku do Izraela. W Tel Awiwie wyszła powtórnie za mąż za pana Lindnera, przeszła na judaizm i przyjęła imię Ruth Lindner. Przed paroma laty owdowiała. Zmarła w 1999 roku i jako honorowa obywatelka miasta Tel Awiw została pochowana na cmentarzu dla zasłużonych.

Gdy front przeszedł bardziej na zachód i szereg miast, w tym Łódź, zostało wyzwolonych, wszyscy dawni mieszkańcy Łodzi pośpiesznie się tam udali. Glazerowie i ich rodzina dostali mieszkanie na ulicy 11 Listopada. Kon wraz z nową żoną i synem zajął poniemieckie mieszkanie na ulicy Nawrot, a Seifman zamieszkał na ulicy Kamiennej wraz z siostrami Kalisz. Do Łodzi ściągnęli również Cytrynowie i Icchak Kryszek, który wkrótce znalazł sobie żonę w osobie ocalałej Żydówki, brzydkiej jak noc, ale ponoć bardzo dobrej. Kryszek zamierzał szybko wyemigrować do – wówczas jeszcze – Palestyny.

Gdzie zamieszkali Cytrynowie, dziś już nie pamiętam, ale będąc w Łodzi na przełomie lat 1945/1946, odwiedziłem ich. Cytryn, który jako zegarmistrz był bardzo pracowity, po wojnie dosłownie leżał do góry brzuchem i oczekiwał na wyjazd do Kanady. Po pewnym czasie wyjechał, ale podobno wkrótce zmarł na atak serca.

Roman Kon po wojnie zaczął robić interesy w Niemczech. Wyjeżdżał często do Berlina, aż pewnego razu zabrał rodzinę i pozostał w na stałe w Zachodniej Strefie Okupacyjnej. Po paru latach wyemigrował do Kanady i zamieszkał w miejscowości Munck, gdzie żyje jeszcze syn Juleczek. Roman zmarł na początku lat osiemdziesiątych, w bardzo podeszłym wieku, według moich szacunkowych obliczeń osiągnął wiek około 85 lat.

Jak wspominałem, czteroosobowa grupa z Hożej 38, Glazerowie i Chwatowie, ukrywała się w swoim bunkrze do chwili wyzwolenia Warszawy, tj. do 17 stycznia 1945 roku. Aby przeżyć, wychodzili ze swej kryjówki w celu zdobycia żywności i wody. Przy okazji zgromadzili trochę cennych a bezpańskich rzeczy, które w ogromnych ilościach poniewieraty się wśród ruin. Te zasoby pomogły im w Łodzi w zdobyciu odpowiednich funduszy i uruchomieniu małego zakładu wytwarzającego wstążki i galanterię włókienniczą. Jak wydostali się z Warszawy i połączyli z pozostałymi członkami rodziny, tego nie wiem, gdyż sami zainteresowani nic na ten temat nie mówili. Spotkałem ich wszystkich razem w Łodzi, gdy przyprowadził mnie Samuel.

Glazerowie, Fania i Sewek oraz Chwatowie wyjechali do Argentyny. Sewek, dzięki finansowemu wsparciu rodziny Fani, która od dawna zamieszkiwała w Buenos Aires, założył wytwórnię pończoch. Z biegiem czasu wytwórnia przerodziła się w duży zakład. Dwie ich córki wyszły za mąż. Młodsza podobno za jakiegoś barona czy markiza. Podczas mojej praktykanckiej podróży na statku s/s „Bałtyk” do Argentyny w 1947 roku zdołałem ich odnaleźć w Buenos Aires. Bardzo serdecznie mnie przyjęli i namawiali do pozostania. Później nie utrzymywaliśmy kontaktów.

Samuel Glazer z żoną Miną i jej bratem Jerzykiem Kryszkiem wyjechali w 1947 roku do Palestyny i zamieszkali w Jerozolimie. Przedsiębiorczy Samuel założył wytwórnię spodni i nazwał ją tak jak swoją dawniejszą łódzką wytwórnię koszul „Veritas”. Samuel zmarł w 1989 roku w wieku około 90 lat. Na parę tygodni przed jego śmiercią widziałem go w Izraelu. Bardzo ciężko chory, rozpoznał mnie jednak i zdołał wymówić parę słów po polsku. Jego żona Mina żyje i przebywa w domu starców w Hajfie.

Herman Herling wraz z córką Halinką również wyjechali, najpierw do Stanów, a potem do Izraela. Herling zmarł w końcu lat sześćdziesiątych lub na początku lat siedemdziesiątych. Halinka, obecnie Fridman, wyszła za mąż za warszawskiego Żyda, miała trzech synów i jest szczęśliwą babcią. Najmłodszy syn niestety zmarł na chorobę nowotworową krwi. Średni był mistrzem Izraela w karate, a obecnie jest trenerem kadry.

Jedynym z całej grupy, który nie wyemigrował, był Seifman. Zamieszkał w Łodzi i założył zakład bieliźniarski. Ożenił się z Ireną Kalisz. Czy jeszcze żyje, tego nie wiem. Jego syn wyjechał na Zachód i zamieszkał w Belgii.

Zimą 1946 roku spotkałem w Łodzi pana Wargę, który przejściowo przebywał z osmioosobową grupą u mojego Ojca w Wawrze. Zamierzał wyjechać do USA i jak się później dowiedziałem, osiągnął swój cel. Dwie osoby z tej grupy udało mi się przypadkowo poznać w Sopocie. Miało to związek z odnalezieniem mego Ojca. Wiele osób wiedziało, że mieszka na Wybrzeżu, ale nikt nie znał adresu. Po powrocie z obozu do Łodzi mieszkaniem u wujostwa i gdy nabrałem trochę sił, a raczej chęci, aby udać się na poszukiwanie Ojca, pojechałem do Gdyni. Byłem jednakże zbyt słaby, by kontynuować energiczne i planowe poszukiwania, więc niebawem wróciłem zrezygnowany do Łodzi. Pomogli mi znów nieocenieni Glazerowie. Sobie tylko wiadomymi kanałami dowiedzieli się, gdzie mieszkali na Wybrze-

żu dawni współtowarzysze Wargi. Dali mi do nich adres. Mieszkali na głównej ulicy w Sopotcie. Oczywiście wiedzieli, gdzie mieszka pan inżynier, i w ten sposób dotarłem do Ojca, a przy okazji poznałem dawnych naszych sublokatorów.

Niedługo minie 60 lat od tamtych wydarzeń i zapewne większość osób, które wspominać, nie żyje. Tylko z nielicznymi utrzymuję kontakty korespondencyjne: z Miną, jej siostrzenicą Niusią (Anna Ryba) oraz siostrą Glazera, Gitą Beigelman. Obie te panie, dziś szacowne babcie, są moimi rówieśnicami, i gdy je poznałem w 1945 roku, Nusia i Gitka były młodymi, interesującymi dziewczynami. Obie przeżyły obozy i nie były naszymi podopiecznymi.

Fenomen ocalonych rodzin

Na zakończenie trochę refleksji o rodzinach Glazerów i Kryszków. Tym dwóm rodzinom udało się przejść przez lata zagłady bez większych uszczerbków. Wiele rodzin, a nawet rodów żydowskich, zniknęło bez śladu. Z wielu pozostali osieroceni tylko pojedynczy członkowie. Na tym tle przypadek Glazerów jest jakimś fenomenem.

Z rodziny Glazerów uratowali się: stary ojciec (w Wawrze), Samuel (w Wawrze), jego najmłodszy brat Sewek (na Hożej). Przeżył również brat Leon, ale nie znam szczegółów jego ocalenia. Wyjechał potem z najmłodszą z licznych rodzeństwa siostrą Gitą (później Beigelman) do Stanów Zjednoczonych. Tylko jeden z czterech braci Glazerów, Jakub, nie przeżył wojny. Okoliczności jego śmierci nie są mi znane.

Z rodziny Kryszków, łódzkich księgarzy, nie przeżyła Anda Herling, której nie udało się wyjść z getta. Jej córka Halinka żyje w Izraelu. Mina i jej brat Jerzyk oraz kuzyn Icchak przeżyli w Wawrze. Najstarszy brat Miny przeżył w ZSRS i wraz z wojskiem powrócił do kraju. Po wojnie zamieszkał w Dzierżoniowie, był tam tłumaczem przysięgłym. Zmarł w wieku 96 lat. Jego syn Leon mieszka w Izraelu. Nusia przeżyła w obozie. Mieszka w Holon (Izrael) i ma dwóch synów i czworo wnucząt.

Krótko po zakończeniu II wojny światowej zaczęły narastać niepokoje i obawy przed nową wojną. Żydzi zaczęli opuszczać Polskę, uznając ją za kraj niebezpieczny do zamieszkania. Nasi podopieczni – oprócz Seifmana – rozjechali się po całym świecie: do Kanady, USA, Argentyny, Europy Zachodniej, no i przede wszystkim do Palestyny, w której proklamowano państwo Izrael.

Kontakty się urwały. Po kilku latach Glazerowie przystali list z Jerozolimy i zaczęliśmy ze sobą korespondować. Na początku lat sześćdziesiątych zaprosili moją macochę Teresę do Izraela. Mój Ojciec już wtedy nie żył. Po jej przyjeździe namówili ją, aby pozostała na stałe w Izraelu. Uległa namowom i została. Ułożyła sobie nowe życie. Wyszła ponownie za mąż i podjęła pracę w tamtejszej służbie zdrowia.

Uratowani przez nas Żydzi, zamieszkujący w Izraelu, wystąpili z wnioskiem o nadanie Teresie oraz mnie tytułu „Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata”. **Niestety, w tym wniosku nie wspomniano w ogóle o zasługach mego Ojca, KAROLA KOŹMIŃSKIEGO, chociaż on odegrał najważniejszą rolę w tych wydarzeniach.**

Po 21 latach od zakończenia wojny otrzymałem zaproszenie do ambasady Izraela w Warszawie na uroczystość wręczenia dyplomu (bez medalu). Uroczystość odbyła się w październiku 1966 r. Udekorowano 12 osób, z których do dziś żyją tylko trzy: słynna pani Irena Sendlerowa, prof. Władysław Bartoszewski i ja. W 1989 r. otrzymałem w siedzibie Yad Vashem medal „Sprawiedliwego”. W roku 1998 odwiedziłem wraz z żoną Izrael na zaproszenie prezydenta miasta Tel Awiwu, pana Shlomo Lahata.

Opracowali dr Włodzimierz Gustowski i Jan M. Ruman